

Wolny człowiek

Małgorzata Niezabitowska

Jedyna na świecie jednoosobowa wytwórnia filmów fabularnych mieści się w chłopskim gospodarstwie na skraju wsi Bojszowa w południowej Polsce. Tutaj co niedziela pomiędzy psią budą a gnojowiskiem powstaje miasteczko z Dzikiego Zachodu. Stajnia zamienia się w bank, obora w urząd szeryfa, a żółte drzwi saloonu prowadzą wprost do stodoły.

Na obszernej podwórzu tłoczno od dylizansów i armat, wozów pionierskich i wojskowych, które – jak głosi napis – należą do 58 regimentu armii Stanów Zjednoczonych. Oderwane od pług, ciężkie, robocze konie nerwowo kręcą się pod siodłem, a stateczni mieszkańcy wioski przybyli prosto z kościoła po niedzielnej mszy zrzucają pospiesznie świąteczne ubrania i przeobrażają się w barwne postacie z XIX-wiecznego Teksasu.

Józef Kłyk, reżyser i producent, kamerzysta i scenograf, rozdziela role. Wódz Apaczów, Bufflo Bill, szuler, traper i przywódca Ku-Klux-Klanu sprawno wyławiają odpowiednie kostiumy z wielkich waliz wypełnionych skłębioną masą ubrań, butów, kapeluszy i peruk. Przebieranie odbywa się publicznie, koło szopy na narzędzia, tak jak charakteryzacja, w której aktorzy pomagają sobie nawzajem. Tylko wąsy, rekwizyt cenny i delikatny, przykleja Józef osobiście. A potem mężczyźni z namaszczeniem wybierają broń z obfitego arsenału, walka jest bowiem głównym motywem akcji.

Indianie walczą z białymi. Konfederaci z żołnierzami Unii, zgłodniałymi nowi osadnicy z kowbojami broniącymi potężnych rancherów. Bandyci napadają na bank, poszukiwacze złota zabijają się w bóje o podział łupu, a wszystko kończy samotny pojedynek szeryfa z groźnym rewolwerowcem, który terroryzuje okolicę. Przez kilka zaledwie godzin rozgrywa się cały wielki dramat westernu, wszystkie klasyczne wątki tej męskiej przygody. I chociaż leje się krew sztuczna, ciosy są prawdziwe, aktorzy uważają bowiem, że "jak bić to bić".

"Dostać w pysk otwartą ręką – to właśnie lubię – mówi Kłyk, który w swoich filmach gra zawsze głównego bohatera. – Kung Fu, karate czy gwiazdne wojny to raczej balet i tricki, można się w tym zagubić, a mnie pociąga prostota i romantyzm... Niech mężczyzna będzie mężczyzną, a dobro zwycięży zło." W ciągu 25 lat Józef nakręcił 68 filmów, w tym siedem pełnometrażowych. Ogromna większość to westerny. Wszystkie powstały w obrębie jednej wsi.

„Kiedy opowiadam o tym, co robię – mówi Józek – to ludzie mi nie wierzą, a kiedy pokazuję filmy, to nie wierzą mi tym bardziej. Skąd wzięłeś kaskaderów, kostiumy, dekoracje, kto dał ci pieniądze, pytają. Jeden zawodowy reżyser wyliczył, że na mój ostatni film musiałem wydać piętnaście milionów, a on to by go i za trzydzieści nie zrobił. Thumaczę więc, że jako robotnik budowlany zarabiam na miesiąc 60 tysięcy, więc milionów nie mam, kostiumy i dekoracje robię sam, a grają amatorzy, kumple ze wsi za pół litra. No i wtedy to mi już całkiem nie wierzą." Józek śmieje się i dodaje po chwili: "Ja im się nawet nie dziwię, bo trzeba być naprawdę upartym wariatem, aby życie temu poświęcić."

Józek urodził się w Bojszowej 39 lat temu jako najmłodszy z czworga dzieci niezamożnego chłopa. "Zaczynałem od zera – wspomina – nie wiedziałem nic. Kina uczyłem się tak, jak kiedyś świat się uczył."

Jego pierwszą miłością był Charlie Chaplin, a pierwszą kamerą prymitywna "ósemka produkcji radzieckiej z mechanizmem na czterowoltową baterię. Chaplina poznał w objazdowym kinie, które raz w tygodniu przyjeżdżało do wioski. Projekcje odbywały się w starej karczmie, zamienionej po wojnie na "ośrodek kultury". Był tu patefon na korbkę i stare płyty, stylowe stroje, meloniki i pawie pióra, a także przedwojenny album o Hollywood. Trzynastoletni chłopak uruchomił patefon, przebrał się za Chaplina i zaczął odgrywać przed kolegami podpatrzone w albumie scenki. Wtedy właśnie przysięgł sobie, że będzie robić filmy.

Kamerę zdobył rok później. Był już uczniem szkoły budowlanej

w pobliskim mieście Tychy. Pragnął iść do liceum, marzył o studiach filmowych, ale „w życiu – jak surowo pouczył go ojciec – liczy się solidny zawód, który szybko przynosi pieniądze.” Józek ugiął się przed rodziną, lecz oszczędzał każdy grosz ze szkolnego stypendium, aż zebrał majątek – siedemset złotych. Tyle kosztowała najtańsza kamera. Była tak mała, że kiedy ją wreszcie wziął do ręki, nie mógł uwierzyć, iż jest prawdziwa i upewniał się u zdumionej sprzedawczyni, czy to aby nie zabawka.

Wypróbował ją tegoż popołudnia. Założył czarno-białą taśmę i w stodole przeobraził się w Chaplina. On grał, kolega kręcił, a potem razem otworzyli kamerę myśląc, że tam będzie od razu gotowy film. I wszystko się prześwieciło. Józek wpadł w rozpacz, bo uznał, że kamera jest zepsuta. Po namyśle postanowił jednak ponowić próbę. Tym razem chcąc przewinąć taśmę po ciemku zamknął się w szafie. Przechodząca obok matka usłyszawszy szelest z okrzykiem "Mysz!" otworzyła drzwi i Józek znów miał w rękę mlecznobiałą kliszę.

"Byłem jak dziecko we mgle – wspomina – nie było literatury fachowej ani nikogo, kto mógłby mnie nauczyć, sam więc musiałem dojść do wszystkiego."

Pomiar robił na oko, a filmy oglądał pod lampą, kamera nie miała bowiem światłomierza, a on projektora. Dopiero kiedy go wreszcie kupił, rodzina, koledzy i on sam patrząc na fikającego kozy Chaplina uwierzyli, że się udało. Projektor był używany, silnik zacierał się co chwilę, ale oglądanie własnych filmów sprawiało taką radość, że Józek kręcił je nieomal codziennie. Ukochany Charlie przeżywał moc przygód. Potem dołączył do niego Buster Keaton odgrywany przez Józka w chlewiku, bo "wyzarty amoniakiem przypominał Bronx". Były to parominutowe historyjki grane jak w teatrze zgodnie z przebiegiem akcji i nakręcane od jednego podejścia, aby uniknąć cięć taśmy i prymitywnych sklejek, które rwały się podczas projekcji.

Ta produkcja pochłaniała czas i pieniądze. Józek rzucił szkołę i po krótkim przeszkoleniu zaczął pracować w kinie. Teraz on objeżdżał wioski i wyświetlał ludziom westerny i melodramaty. To były jego studia filmowe. Każdy tytuł oglądał co najmniej pięćdziesiąt razy i analizował scenę po scenie. Tak uczył się warsztatu, przerysowywał stroje i dekoracje, podpatrywał tricki.

Jego pierwszą próbą w kolorze byli *Trzej muszkietierowie*. Kulminacyjną scenę, nocny pojedynek D'Artagnana, nakręcał w świetle potężnych lamp. Zar był straszliwy, jasno niczym w kościele, ale na wywołanej kliszy widoczny był zaledwie zarys postaci. I powtarzało się to tak długo, aż Józek zrozumiał, że do filmu trzeba używać innego światła, niż to, którym oświetla się mieszkanie.

Muszkietery był filmem kostiumowym, a więc Józek nauczył się także szyć. W tajemnicy przed matką rozpruł stare ubranie i po kawałku obrysował na gazecie. Potem według tego modelu kroił pstrokate, tanie materiały, zszywał je ręcznie i sam na sobie mierzył. Używane podczas letnich prac w polu słomiane kapelusze przybrał gęsimi piórami, a do krótkich butów przymocował wysokie, wywijane cholewy, które uszył z grubego sukna. Szable wymodelował z listewek i pomalował na srebrno, uchwyty do nich zrobił z miedzianej blaszki a pasy z kilku wstążek.

Kiedy wszystko było gotowe, ośmiu wspaniale wystrojonych aktorów udało się na ojcowską łąkę. Tam gwardia kardynała Richelieu napadła na muszkietierów z taką furją, że po chwili wszyscy, łącznie z Józkiem, zapomnieli o filmie i bili się całkiem na serio. Szable się połamały, mundury porwały w strzępy, a kamerzysta trząsł się ze śmiechu tak, że scena wyszła jakby w konwulsjach. Była to świetna, kolorowa komedia i Józek już na zawsze porzucił Chaplina oraz czarno-białą taśmę.

Na poddaszu rodzinnego domu urządził "małe Hollywood". Było tam atelier z mnóstwem rekwizytów, które zbierał po całej wsi. Stare zegary, meble, instrumenty, które inni z pogardą nazywali "gratami" i wyrzucali na śmietnik, jemu służyły świetnie



do urządzania planu. Tam też malował dekoracje, szyl kostiumy i pokazywał swoje filmiki zaledwie kilku zaufanym, bo koledzy i sąsiedzi wyśmiewali się z niego, a rodzina narzekała. Ojciec nie mógł darować Józkowi, że podczas gdy jego rówieśnicy już pracują w kopalni i powoli zaczynają się dorabiać, on gania po polach z szabelką. Matka zaś, kiedy ksiądz chodził po kołędzie, schowała kamerę pod pierzynę, bo "to taki wstyd".

Przełom nastąpił niespodziewanie, a jego sprawcą był Tomasz Rogulski, zamożny gospodarz i chłop z wielką fantazją. Doskonały woźnica, który wszystkich we wsi woził do ślubu, lubił wprowadzać swoje konie schodami do knajpy i jeszcze zamawiał dla nich po kieliszku wódki. Dla nowożeńców miał specjalną, malowniczą bryczkę i właśnie ten pojazd upatrzył sobie Józek jako dylizans do swojego pierwszego westernu.

Bał się do tego przyznać, więc kiedy prosił o pożyczenie bryczki, bąkał coś o wyprawie na ryby. Wymodelowane przez siebie

w drzewie strzelby miał nawet pochowane w futerały niczym wędki. Tomek nie dał się jednak nabrać i wydusiwszy z Józka, że chodzi o film, zamiast odmówić, zaproponował samego siebie do roli poczmistrza. Gębę miał zresztą świetną, jednocześnie mroczną i zawadiacką, zarośniętą i ogorzałą. W kowbojskim stroju wyglądał niczym jeden z "siedmiu wspaniałych", grał też niewiele gorzej i Józkowi zamiast planowanej komedii wyszedł pierwszy poważny film.

W tej opowieści o napadzie na dylizans wszystko było wedle klasycznych wzorów: zła banda, pogoń, rabunek i dzielny rewolwerowiec – grany oczywiście przez Józka. Bohater ów w brawurowy sposób rozprawił się ze złoczyńcami, poszkodowanym oddał zrabowane skarby a szeryfowi schwytanych przestępców. Pędzący dylizans Józek filmował z jadącego równolegle motocykla. Polna droga była tak pełna wertepów i wybojów, że Józek mocno przywiązany pasami do kierowcy z ledwością utrzymywał w rę-



kach kamerę. "O mało żeśmy się nie pozabijali – wspomina – szczególnie, że Tomek poganiał konie jak szalony, ale scena wyszła bardzo dramatycznie."

Premiera filmu odbyła się w domu Tomka. Był to wielki sukces. Dotąd wieś uważała filmiki za głupią zabawę dzieciaków, mimo że Józek w międzyczasie dorósł do lat osiemnastu. Teraz jednak po raz pierwszy razem z młokosami wystąpił dorosły, dwa razy starszy mężczyzna i wcale się tym nie ośmieszył. Józek wędrował z projektorem od chałupy do chałupy, wszędzie zbierając pochwały, a młodzi i starzy z nagłym entuzjazmem garnęli się do nowego filmu. Józek obiecywał "prawdziwy western". Tytuł: *Dyżans do Kansas*.

Akcja miała się rozgrywać dwa kilometry za wsią, w opuszczonej piaskowni, po środku której stał mały domek. Józek uruchomił super produkcję. Szył kostiumy, malował szylidy, wytwarzał colty i winchestery, strzały i łuki. Domek przekształcił w stację pocztową. Oczyma wyobraźni widział wyruszający stąd dyżans pełen kobiet i dzieci, potem ścigających go Indian, zapierającą dech pogoń, straszliwą walkę, ścielące się trupy i niespodziewaną odsiecz. Pierwszy raz w życiu mógł działać z rozmachem, miał bryczkę, konie, aktorów i doskonałą scenerię przypominającą pustynne bezdroża Teksasu.

Wszystko jednak wyszło na odwrót. Ciągąca dyżans czwórka koni, mimo wysiłków Tomka, nie chciała iść po piachu tylko po normalnej drodze między polami. Konie Indian zamiast ścigać dyżans zawróciły w stronę wsi i nie zważając na protesty jeźdźców galopem powróciły do stajni. Dla kilku Indian w ogóle zabrakło koni. Ci wprawdzie gonili dyżans, ale na piechotę, więc żeby sobie ułatwić jeden z Komanczów wsiadł na rower, a reszta wybrała się na skróty przez kartofliska. Zamiast trzymającego w napięciu dramatu, wyszła taka komedia, że widzowie płakali ze śmiechu.

Józek nie zniechęcił się jednak, bo dzięki tym dwóm filmom odkrył wielką pasję swego życia – robienie westernów, a zarazem zrozumiał, że nie może mechanicznie naśladować wzorów z Hollywood. Wtedy właśnie postanowił połączyć Śląsk z Teksasem i wymyślił Józka Złotko, chłopca z Bojszowej, który w połowie XIX wieku w poszukiwaniu pracy jedzie do Ameryki. Odąd Złotko, zawsze grany przez Józka, który ginie i zmartwychwstaje w kolejnych filmach, staje się postacią łączącą wszystkie historie.

Był *Emigrantem* i *Człowiekiem znikąd*, ponieważ dla Amerykanów Polska to kraj nieznany, a Śląsk to "już zupełnie nic". Przemienił się w *Obcego*, gdyż nie zna języka, obyczajów ani kultury, ale jednocześnie współtworzył legendę Dzikiego Zachodu, którą "pisali przecież obok sławnych rewolwerowców także prości ludzie". Złotko przeżywał w Ameryce niezliczone przygody, zawsze jednak według pewnego schematu – najpierw pokonany na końcu zwycięża, ponieważ jest mężczyzną zaciętym i odważnym, obrońcą słabych i podporą prawa.

Korzeniami Złotko tkwi w ojczyźnie, co pozwala Józкови na wykorzystanie wielu autentycznych, śląskich elementów, które albo pojawiają się we wspomnieniach bohatera, albo w jego snach, nieraz zabawnie splatane z realiami Dzikiego Zachodu. Westerny Józka nie są jednak komediami ani inną mieszkanką gatunków. Nigdy nie lubił on filmów demaskujących Dzikiego Zachód, gdzie jak u Sama Peckinpaha – wszystko jest biedne, szare, byle jakie i beznamiętnie okrutne.

"Jeśli nawet ci wspaniali mężczyźni mają pod spodem brudne overalle – mówi Józek – to my nie musimy o tym wiedzieć. Mnie – na odwrót – w kinie pociągają właśnie mit i legenda, dlatego też wolę western piękny w kolorach i klasyczny niczym mądra bajka. I taki próbuję robić. Powielam pewne archetypy gatunku świadomie zapożyczając z najsławniejszych filmów. Rekonstruuje znane sceny bawiąc się nimi, ale jest to gra na serio."

Namiętność Józka do robienia filmów, jak każde wielkie uczucie, nie wolna była od kryzysów. "Nie raz wydawało mi się, że ten cały piekielny wysiłek pozbawiony jest sensu i wyznaczyłem sobie datę, kiedy z tym wszystkim skończę. Pierwszą taką granicą miało być wojsko, ale kiedy po dwóch latach służby wróciłem do domu, byłem taki szczęśliwy, że od razu nakręciłem *Wolnego Człowieka*." Miał ogoloną głowę, więc film zaczynał się od ucieczki z więzienia.

Wtedy też prezes gminnej spółdzielni w Bojszowej zaproponował, że kupi Józкови nowy sprzęt w zamian za filmową obsługę różnych wydarzeń i uroczystości. Dzięki szczodrości prezesa Józek

stał się właścicielem kamery ze światłomierzem i teleobiektywem, a także magnetofonu, synchronizatora oraz nowego, lepszego projektora. Była to prawdziwa rewolucja techniczna – koniec epoki niemego kina.

Dotąd wszystkie historie były naiwne i nie trwały dłużej niż piętnaście minut, tak aby każdy potrafił je zrozumieć. Teraz Józek mógł wreszcie porzucić krótki metraż i zająć się robieniem tego, o czym od dawna marzył – filmów długich o skomplikowanej akcji. Od tej chwili towarzyszyły im muzyka i narracja, ale nigdy dialog, bo "żeby Indianin czy szeryf po polsku mówili, to po prostu niemożliwe. W westernie nie uznaje żadnego dubbingu. Tu dialog musi być amerykański, a każda wstawka włoska, polska czy szwedzka to jak zgrzyt szkłem po metalu. Raz słyszałem Johna Wayne'a przemawiającego po niemiecku i ta wersja *Rio Bravo* meczyła mnie później przez wiele nocy jako senny koszmar."

Spółka filmowa działała doskonale. Józek dokumentował zebrania spółdzielni albo organizowane przez nią "akcje żniwne" i bale w remizie. Prezes miał co prezentować władzom zwierzchnim i otrzymywał liczne nagrody za wydajną pracę. Z wielkim zapalem grywał także w filmach Józka – zawsze wielkiego przemysłowca. Najpierw był teksańskim milionerem, właścicielem pól naftowych, kiedy zaś w Bojszowej nastała zima i akcja westernu musiała przenieść się na północ, prezes splajtował na południu i błyskawicznie dorobił się majątku na handlu skórami wśród śnieżnych pól Alaski. Z magazynów swej spółdzielni dostarczał również rekwizyty, które uwiarygodniały grane przez niego postacie – wielkie beczki z ropą do rafinerii oraz wyprawione skórki nutrii, które udawały lisy i wilki.

Idylla z prezesem skończyła się, kiedy przybyła niespodziewanie na plan filmowy żona przydybała go w scenie miłosnej z panienką z saloonu. Dziewczyna była znacznie młodsza i ładniejsza od prezesowej, która też i nie dała sobie wytłumaczyć, że to tylko gra i po gwałtownej awanturze zakończyła filmową karierę męża.

Kobiety były zawsze problemem dla Józka. Przede wszystkim od samego początku brakowało mu aktorek. Dziewczyny niby garnęły się do filmu, marzą o zostaniu gwiazdą, ale jak przychodziło co do czego, to wstydziły się, albo też bały, że je ludzie we wsi wezmą na języki. Co gorsza nie tylko same nie chciały grać, ale jeszcze swoich chłopów odciągały od filmu. Najpierw jako narzeczone, bo podczas randki zamiast siedzieć biernie na planie i nudzić się, wołały pójść do prawdziwego kina albo do dyskoteki. Potem jako żony, ponieważ uważały, że miejsce mężów jest w domu. W dzień powszedni zawsze się tam jakaś robota znajduje, niedzielę zaś trzeba zgodnie z bożym przykazaniem święcić, a nie wygłupiać się w indiańskim pióropuszu na głowie.

Drugim punktem niezgody był alkohol. Kobiety nie lubią, kiedy mężczyźni piją, i z tym akurat Józek, który sam jest abstynentem, gotów był się zgodzić, ale gdyby nie postawił piwa czy pół litra, nikt by mu grać nie przyszedł. Zaczęło się jeszcze od Tomka, który chętnie dawał konie, bryczkę i własną osobę pod jednym warunkiem jednak, że "mi tu zaraz synki butelkę przyniesiecie". I tak już zostało. To, co aktorzy piją na planie, jest zawsze prawdziwe, dlatego też najbardziej lubiane są sceny w saloonie. A kiedy scenariusz ich nie przewiduje, urządza się bar w komórcie. Józek dostarcza tam alkohol w rozsądnych dawkach, ale trudno mu upilnować, aby inni nie dołożyli czegoś od siebie.

Nauczony doświadczeniem Józek, nie zostawia już teraz scen walki na koniec dnia zdjęciowego, bo zdarzało się, że rozochocony aktorzy nie potrafili rozróżnić prawdy od fikcji i zamiast zastrzelić się elegancko, łapali za cepy i tłukli do nieprzytomności. Nic dziwnego więc, że czasem kobiety mają pretensje.

Sam Józek swoją przyszłą żonę poznał w kinie. To był dobry omen i sprawdziło się. Są już ze sobą szesnaście lat. Początkowo pomagała mu przy robieniu filmów, potem znudziła się, a narodziny dziecka stały się dobrym pretekstem, żeby przestać. Nigdy mu jednak nie przeszkadzała, nie miała pretensji, że na filmy wydaje pieniądze, że niszczy zdrowie, traci czas. W niedzielę, gdy Józek kręci, żona z synkiem urządza piknik nad rzeką, idą do lasu na grzyby albo odwiedzają krewnych we wsi.

Kiedy pobrali się w 1976 roku, Józek przeniósł się do Pszczyny, miasta odległego o 20 kilometrów, gdzie zamieszkał u rodziców żony. W Pszczynie zaczął też pracować jako robotnik w brygadzie remontowej, jednak wszystkie wolne chwile spędzał nadal w rodzinnej wsi. Jeśli pogoda pozwalała, kręcił westerny w gospodarstwie Tomka, który raz na zawsze użył mu swego podwórza.

W zimne i deszczowe popołudnia natomiast wyświetlał swoje filmy krążące od domu do domu. To było jego prywatne objazdowe kino.

Po ukończeniu nowego filmu pierwsze pokazy urządzał w świetlicy lub remizie. Schodziły się tłumy – dwieście, trzysta osób na jeden raz i dopiero wtedy Józek przeżywał katusze, bo "filmować to nic, ale pokazywać to jest egzamin. Tłok, upał, każdy komentuje, pyta, przerywa, a do tego sprzęt prymitywny, więc cały czas drzę, żeby synchronizator nie zawiódł, bo jeśli najpierw z armaty leci dym, a strzał słychać później, to natychmiast z dramatu robi się farsa."

Na własne mieszkanie czekali trzy lata. O trzy za długo, bo kiedy się ożenił, ojciec kazał mu zlikwidować "Małe Hollywood", które przez lata rozrosło się do trzech okazałych pomieszczeń. Był tam wytwórni salon z barem i pianinem, urząd szeryfa, w którym mieścił się skład wszelkiej broni oraz areszt, gdzie za solidnymi kratami stały przycze więźniów. Eksmisja była tym boleśniejsza, że Józek nie miał co zrobić z meblami i rekwizytami. Co się dało, poupychał w piwnicy, a rzecz najcenniejszą, pianino, kolega obiecał przechować w swoim domu. Kiedy jednak Józek przywiózł tam na drabiniastym wozie ogromny instrument, powiedziano mu, że jedyne wolne miejsce znajduje się w chlewie.

Skutki tego okazały się tragiczne. Przez zimę myszy i szczury rozprawiły się z pozostawionymi w piwnicach rzeczami, zjadły nawet zrobione ze sznurka peruki, a co oszczędziły, zgnióło. Natomiast wygnięte z chlewia pianino nadawało się tylko na śmietnik. Zrozpaczony Józek postanowił urządzić mu godny pogrzeb. Do filmowej sceny, w której przejęci słusznym gniewem mieszkańcy miasteczka Woodortd wieszali koniokrada, dorobił efektowny koniec. Stojącego już pod stryczkiem złoźcę uwalnia banda podobnych mu opryszków. Podczas walki, która się potem rozpętała, nie posiadający broni koniokrada schował się w pianino, w zamieszaniu jednak jeden z jego kumpli rzucił w instrument łaskę dynamitu. Amunicja była prawdziwa, pianino wyleciało więc w powietrze z ogłuszającym hukiem, a okaleczone struny dźwięczały, grały i rzeźbiły tak przeraźliwie, że zbiegła się cała wieś w przekonaniu, iż pod lasem rozbił się samolot.

Kiedy z żoną i synkiem otrzymali wreszcie swój własny pokój z kuchnią, Józek od razu przekształcił go w magazyn rekwizytów i pracownię, gdzie z powodu braku miejsca półleżąc na podłodze cierpliwie, kawałek po kawałku, malował dekoracje. Powoli odtworzył to, co zostało zniszczone i kręcił kolejny pełnometrażowy western *Fu! śmierci*. Skończył go niedługo przed swoimi trzydziestymi urodzinami, datą graniczną, która każdego mężczyznę skłania do rozrachunku z samym sobą.

Właśnie wtedy Józek uznał, że zaczyna się powtarzać i że czas skończyć tę wspaniałą przygodę, lecz trzeba to zrobić z rozmachem, "tak, aby coś po nas pozostało". Tym pożegnaniem miał być western zrobiony bardziej profesjonalnie, w nowej technice, który byłby syntezą tego, co dotychczas stworzył łącząc w sobie najlepsze wątki, sceny i postacie z jego filmów. Z ogłoszenia kupił rosyjską kamerę, "szesnastkę" z trzema obiektywami. Model przestarzały, sprężynowy, ze skomplikowaną zmianą taśmy w trzech małych kasetach, był jednak prawdziwą rewolucją, ostatecznym przejściem od prymitywnego amatorstwa do techniki, którą posługiwali się zawodowcy.

Film zaczął w sierpniu 1980 roku, gdy cała Polska ogarnięta już była strajkami, a w gdańskiej stoczni rodziła się "Solidarność". Moment był dramatyczny, ludzie bali się występować, patroli kontrolowały wszystkie drogi i kilka razy Józek przeżywał gorące emocje, kiedy na oczach milicjantów musiał otwierać bagażnik pożyczonego samochodu wypełniony bronią, dolarami i amerykańskimi sztandarami. "Sam siebie wtedy kłamię, że tak dobrze umiem podrabiać, bo w pierwszej chwili brali mnie za terrorystę, a potem długo musiałem się tłumaczyć i udawać, że to wszystko lipa."

Praca nad *Człowiekiem znikąd* trwała z przerwami do roku 1983. Józek wykorzystał wszystkie swoje doświadczenia, zrealizował najbardziej szalone pomysły. Sfilmował nawet bizony – żubry w znajdującym się nieopodal Pszczyny parku narodowym. Te ogromne i niebezpieczne zwierzęta oglądać można tylko z daleka na specjalnym wybiegu, a wstęp do puszczy, gdzie chodzą na wolności, jest surowo wzbroniony. Józek dostał się tam przez płot. Ponieważ nie miał dobrego translokatora, musiał podchodzić do żubrów bardzo blisko.

Na głównego bohatera wybrał wspaniałego samca, który stał po

środku stada. Z nozdrzy buchała mu para i był tak zdumiony, że ktoś odważył się się doń zbliżyć, iż początkowo w ogóle nie reagował na intruza. Kiedy wreszcie ruszył do ataku, Józek który ledwo zdążył uruchomić kamerę, rzucił się do ucieczki i nieomal w biegu przeskoczył parkan. Ta sytuacja powtarzała się, aż Józek wpadł na pomysł, aby schować się w żłobie stojącego na rozległej polanie karmnika. Stamtąd filmował skubiące trawę olbrzymi modląc się, by żadnemu z nich nie przyszła ochota na siano.

Scena wyszła znakomicie i lepsza od niej była tylko ta, w której brały udział świni. Prawie sto macior i prosiaków stłoczono na podwórzu w pobliżu saloonu. Tu właśnie rozegrał się finał dramatu – rozprawa szeryfa Złotko z bandą, która urządziła nań zasadzkę. Bandyci mieli znaczną przewagę, lecz Złotko znakomicie strzelając spod płaszcza zabił wszystkich. Zalani krwią padli w błoto, a przerażone hukiem wystrzałów świni deptały po ich martwych ciałach. Wówczas Złotko odpiął i rzucił na ziemię swoją gwiazdę szeryfa. Podczas gdy także ją tratowały zwierzęta, zwycięzca samotnie odjeżdżał w dal.

Swoje ostatnie dzieło Józek postanowił udźwiękować. Dyrektor wytwórni filmowej w Katowicach zgodził się za sporą opłatą udostępnić sprzęt. Józek szukał sponsora, każdy jednak usłysawszy, że zrobił western, tylko się w czoło pukał. Udało mu się wreszcie namówić Dom Kultury w Pszczynie. Za astronomiczną wówczas sumę pół miliona złotych *Człowiek znikąd* ożył. Znakiem dźwiękowca Zygmunt Nowak oczarowany filmem po mistrzowsku podłożył wszystkie efekty. Narratorem był Józek, bo "każdy aktor brzmiałby sztucznie, a jestem prosty i prymitywny jak ci na ekranie". Muzykę – na bębnach i gitarach – nagrała orkiestra z Bojszowej, a dźwięki towarzyszącej im fisharmonii z 1905 roku były "równie dychawiczne i rżące jak pokazany na filmie świat, który też odchodzi, umiera".

Potem zdarzył się cud. Gotowy już film zobaczył przypadkiem w wytwórni pochodzący także ze Śląska Kazimierz Kutz, jeden z najlepszych polskich reżyserów, i uznał go za rewelację. "Jeśli Amerykanie kiedykolwiek wymyślą Oskara dla amatorów – oświadczył speszonemu Józce – to *Człowiek znikąd* dostanie go na pewno." Póki co jednak zaprosił Józka na festiwal Filmów Amatorskich, gdzie początkowo inni twórcy, demonstrując swoje paraminutowe dzieła, przyjęli go nieufnie. Pełnometrażowy western zrobiony poza wszelkimi strukturami – to nie mieściło się w głowach. Dopiero w czasie projekcji rozbawili się i zachwycili. Skończyło się wśród powszechnego entuzjazmu, chociaż bez nagrody, bo film pokazano poza konkursem.

Nagrodę otrzymał Józek niedługo potem od Śląskiego Towarzystwa Filmowego. Największym tryumfem jednak był pokaz w Bojszowej. Spełniły się wieloletnie marzenia Józka, jego film został pokazany w prawdziwym kinie, na wielkim ekranie, tym samym na którym on zobaczył po raz pierwszy Chaplina, a potem podziwiał wszystkich swoich mistrzów. Na trwające przez całą niedzielę projekcje stawili się wszyscy mieszkańcy wsi. Rodzina Józka płakała ze wzruszenia, a aktorów rozpierała duma. Do tej pory mogli oglądać siebie wśród trzasków i szumów na małym skrawku płótna, teraz poczuł się po raz pierwszy uczestnikami wielkiego filmowego misterium. I oczywiście wszyscy – widzowie i twórcy – domagali się dalszego ciągu.

Tak oto, to co miało być końcem, stało się początkiem. Poprzeczka poszła wyżej i ludzie z Bojszowej dostali ostróg. Chcieli robić więcej i lepiej, deklarowali swój udział i pomoc. Józka nie trzeba było namawiać. Sam w głębi serca nigdy nie wierzył, że naprawdę porzuci film. W następnych latach powstał więc drugi pełnometrażowy western, który czeka na udźwiękowanie, a obecnie Józek pracuje nad następnym, będącym trzecią częścią sagi o losach Ślązaka Złotko na Dzikim Zachodzie.

W międzyczasie Józek przeniósł się do małego domku, jednego z wielu bliźniaczych klocków tworzących przedmieście Pszczyny. Z szarej, pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu ulicy wchodzi się tu wprost w świat fantazji, zapelniony dziesiątkami przedmiotów, mebli i obrazów, które zdają się być przeniesione w czasie i przestrzeni z XIX-wiecznej Ameryki, a w rzeczywistości są dziełem Józka. W piwnicy znajduje się saloon z obszernym barem, a każde z pomieszczeń mieszkalnych jest jednocześnie malowniczą rekwizytornią.

Obróbka techniczna filmu odbywa się w jadalni, gdzie całą nieomal podłogę przykrywa sfatygowany dywan, który po dokładnym odkurzeniu zmienia się w stół montażowy. Każdą scenę

Józek najpierw ogląda na projektorze tak długo, aż zapamięta we wszystkich szczegółach, co chce wyciąć. Potem w białych rękawiczkach zdejmuje taśmę i oglądając ją pod światło tnie na małe kawałeczki. Część ścinków idzie do kosza, a reszta zostaje ułożona na dywanie i precyzyjnie sklejona.

Jest to robota bardzo żmudna, ale skuteczna. I właśnie w tym, że może sam pracować nad taśmą, widzi Józek wielką przewagę techniki filmowej nad video. Tu ma w ręku konkret, tam oglądałby wszystko na ekranie, a do montażu potrzebny byłby sprzęt profesjonalny, który kosztuje fortunę.

Ta ukochana taśma jest jednocześnie jego zmorem. W sklepach nie ma jej od lat. Kręci więc na tym, co uda mu się akurat zdobyć. Do tego samego filmu używa Agfę i Orwo, Kodaka i Fuji, taśmy różnej czułości, często przeterminowane. Kiedy nie ma kolorowej, to nawet czarno-białą, którą kopiuje na sepię. Zdarza się, że rano są zdjęcia, a w nocy jeszcze jeździ i szuka czegoś, na czym mógłby je zrobić. I często musi korzystać z nielegalnych źródeł.

"Wszystko jest przestępstwem wokół tego filmu – śmieje się Józek – tak że najpierw powinny być kajdanki, a potem pytania. Gdybym chciał się trzymać prawa, to nic bym nie zdziałał i nie dlatego, że tak lubię, tylko dlatego, że inaczej nie można. Brak jest nieomal wszystkiego. Amunicję wynoszą mi więc z pobliskiej fabryki, a taśmę z różnych instytucji, gdzie ją potem dla mnie na lewo wywołują. Tak od lat działam na pograniczu prawa i bezprawia zupełnie jak bohaterowie moich westernów."

Józek ma także w domu małe laboratorium, w którym obok barwników do skór i kleju do wąsów, wytwarza – z saletry, cukru pudru i opiłków – proch do armat, a z tuszu, mąki i farby emulsyjnej – krew. Potrzebuje jej dużo, lecz mimo licznych eksperymentów, nie udało mu się wyprodukować substancji o idealnej gęstości i barwie.

Kiedyś z ogromnym wysiłkiem zdobył puszkę krwi produkcji Max Factora używanej przez zawodowców i cały dzień zdjęciowy zaplanował jako serię efektownych bójek i pojedynków. Rozlał krew do prezerwatyw, które jako jedyne nadają się do tego celu, pierwsze porcje rozdał aktorom, a resztę schował do pojemnika. Kiedy przyszło do kręcenia, okazało się jednak, że cała krew znikła. Krótkie śledztwo wykazało, że była ona słodka niczym cukierki, więc aktorzy zjedli ją błyskawicznie i potem tylko gęby mieli w środku czerwone.

"Praca z amatorami to zawsze wielka niespodzianka – mówi Józek. – Ja mogę sobie wszystko wyobrazić, przygotować w każdym szczególe, a potem i tak będzie na odwrót. Dlatego cały scenariusz do mojego filmu mieści się na jednej kartce z zeszytu, a plan dnia zdjęciowego to zaledwie parę punktów. Zresztą nawet do nich nie przywiązuję się za bardzo, żeby oszczędzać nerwy."

– Dlaczego to robisz? – pytam. – Podporządkowałeś życie jednej idei, która nie przyniosła ci ani sławy ani pieniędzy. Na początku, rozumiem, była przygoda, zabawa, ale to już przecież ćwierć wieku ogromnego wysiłku i poświęcenia. Czy to ma sens?

– Sam się nieraz nad tym zastanawiam. Zdrowie straciłem, bo doktorzy mówią, że astmę nabawiłem się właśnie przy filmach. Na urlopy nie jeżdżę, żadnej niedzieli nie odpoczywam, a jeszcze w tych filmach utopiłem majątek. Kiedy jednak patrzę wokół, myślę sobie, Boże, jakie to życie może być monotonne. Ludzie ciężko harują, aby dużo zarobić i kupić samochód, meble, video, a gdy wszystko mają, to już tylko tak w kółko – jeżdżą, patrzą w ekran i chodzą do fabryki. Ja bym zszalał. Mnie przynajmniej udało się przedłużyć młodość, utrwalić ludzi i miejsca, które już przeminęły, bo tak naprawdę to ja te filmy kręcę przecież o nas, mimo że one rozgrywają się w Teksasie.

– A czy ważną przyczyną nie jest także chęć, by na chwilę stać się bohaterem, zwycięzcą?

– Oczywiście. To jest właśnie cudowne w filmie, że z chabety można zrobić ogiera, a z takiego cherlaka jak ja herosa. Myślę zresztą, że każdy mężczyzna chciałby się sprawdzić, pokazać, że umie strzelać, ujeżdżać konie, zwyciężać zło. Dlatego westerny są takie popularne, lecz oglądanie ich w kinie to jak lizanie cukru przez szybę. Dopiero gdy przemieniam się w Józka Złotko, następuje prawdziwe spełnienie. I mam przy tym taki wewnętrzny luksus, bo oto czytam w gazecie, że Kirk Douglas czy Robert Redford grają w westernach, ponieważ kochają ten gatunek. Oni jednak muszą być tym i robić to, co im karzą producenci i reżyser, ja natomiast zamykam gazetę i wiem, że jutro będę filmować, co tylko wymyślę – będę rewolwerowcem albo szeryfem, zwycięzę lub zginę. I wtedy czuję, że jestem wolnym człowiekiem.

styczeń 1989

Małgorzata Niezabitowska ©



Zdjęcia wyk. Tomasz Tomaszewski